

Dziki wschód? Życie na Kresach Wschodnich w II RP

Międzywojenne Kresy, tak jak cała II Rzeczpospolita, kojarzą się głównie z odzyskaną niepodległością, budowaniem państwa, dorobkiem i spokojnym życiem.

Międzywojenne Kresy, tak jak cała II Rzeczpospolita, kojarzą się głównie z odzyskaną niepodległością, budowaniem państwa, dorobkiem i spokojnym życiem. Tymczasem Kresy pełne były niepokoju społecznych, politycznych i etnicznych. Jak mogło być inaczej kiedy do miasta daleko, żyje się w ziemiance, a Warszawa to drugi koniec świata. Władza nie radziła sobie również z falą przestępczości. W 1924 r. ok. 100 uzbrojonych bandytów napadło na pociąg z najważniejszymi ludźmi w regionie. Podróżnych okradziono ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość. Biskup stracił swój krzyż, a wojewodę i komendanta okręgowej policji bandyci rozebrali i zabrali im ubrania.

W następstwie pokoju podpisanego w marcu 1921 r. w Rydze, Polska i Rosja Sowiecka podzieliły między sobą obszary dawnej Rzeczypospolitej, wytyczając granicę w polu. Słabo zaludnione ziemie trudno było kontrolować, więc szybko okazało się, że słupy graniczne nie zatrzymają nielegalnego ruchu w obie strony.

Na porządku dziennym, a może bardziej nocnym, były marsze wszelkiej maści przemytników. Jednym nowa rubież odcięła rynki zbytu, inni widzieli dla siebie szanse w nielegalnym handlu w czasie pokoju, a jeszcze inni próbowali zdobyć coś, co po prostu było potrzebne, a inaczej nie dało się tego kupić. Tacy przemytnicy niejednokrotnie stawali się chcąc nie chcąc współpracownikami służb specjalnych obu krajów. Bo któż inny wiedział lepiej jak po cichu przejść przez granicę nie zwracając na siebie uwagi? Przemytnika werbowano prośbą, groźbą, pieniędzmi albo wizją odsiadki, po czym wysyłano w pole ze szpiegiem, którego miał przeprowadzić.

Sowiecka dywersja

W latach dwudziestych największą plagą nie byli jednak ani przemytnicy, ani szpiegdy, a dywersanci. Sowieci postanowili wykorzystywać biedę i wielonarodowość Kresów, by podważyć polskie władztwo. Powoływano bandy dywersyjne i wysyłano je przez zieloną granicę, by siały niepokój, kradły, paliły, napadały na dworce, urzędy, posterunki polskich służb czy też folwarki i pańskie dwory. Chociaż nie udało się bolszewikom wzniecić powstania, to bandy werbowały lokalną ludność i dawały się we znaki władzom. Na korzyść dywersantów wpływał brak łączności, słabo rozwinięta sieć dróg, mała gęstość zaludnienia i ogrom przestrzeni.



Komenda Policji Państwowej powiatu stołpeckiego w Stołpcu fot. NAC/M. Milcenzon

Niejednokrotnie Policja Państwowa, której w 1923 r. powierzono ochronę granicy, nie była w stanie obronić się przez bojowcami wyposażonymi w broń krótką, karabiny, a czasem i broń maszynową, toteż rząd postanowił wysłać wojsko do opanowania sytuacji i powstrzymania wypadków sowieckich. Skierowanie wiosną 1924 r. Armii "Wilno" i "Lwów" do pomocy policji, na niewiele się zdało - w samym tylko 1924 r. zanotowano 189 napadów. Ale tylko dwa z nich odbiły się szerokim echem w kraju.

Stosunkowo niegroźny, ale upokarzający dla miejscowych władz był napad na pociąg relacji Brześć-Łuniniec w okolicach stacji Łowcza (na Polesiu), którym jechali: wojewoda poleski Stanisław Downarowicz i komendant okręgowy policji w Brześciu insp. Józef Mięśowicz i biskup miński Zygmunt Łoziński. Podróżnych okradziono ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość - i tak biskup stracił swój krzyż. Z kolei Downarowicza i Mięśowicza bandyci rozebrali i zabrali im ubrania.

Jednak czarę goryczy przelał wcześniejszy atak na Stołpcu. Do dzisiaj nie wiadomo ilu dokładnie było napastników, na pewno kilkudziesięciu, być może około setki. W środku nocy z 3 na 4 sierpnia oddział pod dowództwem niejakiego Borysewicza z Mińska, wyposażony w rewolwery, karabiny, granaty i kilka karabinów maszynowych, napadł na małe miasteczko powiatowe. Choć celem bandy był dworzec kolejowy, sieć łączności, urząd gminy, posterunek policji, to nie mogło obyć się bez zwykłej grabieży. Łupem rabusiów padły nie tylko policyjne konie, ale i wszystko co dało się wynieść z miejscowych sklepów i załadować na wozy. Zaalarmowany pobliski garnizon wysłał na odsiecz miastu i w pościg za bandytami ponad 200 piechurów i kawalerzystów. Doszło do strzelaniny, złapano kilkunastu-kilkudziesięciu, a kilku zabito. Część łupu udało się odzyskać.



Mężczyzna w stroju zimowym. Fotografia wykonana na Wołyniu między 1925 a 1939 r. fot. NAC

Przerażone atakiem władze musiały podjąć zdecydowane działania. Atak na Stołpce pokazał bezsilność policji i wojska, podważał autorytet polskiej administracji i służb, rujnował i tak skąpe zaufanie do władz. Remedium na bandy miał stać się powołany jeszcze w 1924 r. Korpus Ochrony Pogranicza - zmilitaryzowana formacja przeznaczona specjalnie na warunki Kresowe. KOP spełnił swoje zadanie, choć przyznać trzeba, że sowieci również zaczęli wyciszać prowadzoną dywersję.

Bieda kresowa

Jednak KOP zajmował się nie tylko walką z dywersantami, łapaniem przemytników i ochroną granicy. Korpus, podobnie jak armia, pełnił rolę cywilizacyjną wobec ludności miejscowej. To właśnie KOP, wraz z rozbudową sieci stanic, popularyzował na Kresach choćby lufciki w oknach czy uprawę truskawek.

Ramię w ramię z KOP-istami pracowało wojsko. Co roku był taki okres, kiedy kresowe problemy raportowane na co dzień przez KOP, było widać jak w soczewce. Pobór do wojska, bo o nim mowa, pozwalał spojrzeć problemom prosto w oczy. Najpoważniejszym była bieda, bo to ona pociągała za sobą cały szereg niedostatków. Stawiający się na komisję wojskową nierzadko przychodzili w chodakach albo w ogóle na boso. Ubrania mieli za duże, za małe, podarte, cerowane, po prostu łachy. Na porządku dziennym była słaba budowa ciała, wady postawy i niedożywienie. Przez całe dwudziestolecie sytuacją poprawiała się, jednak widać było ściśle powiązanie stanu rekruta ze stanem gospodarki - kryzys to biedni i chorzy poborowi.

Politycy i wojskowi w Warszawie postanowili zrobić coś biedą kresową. Administracja była za słaba, a Kresy za duże, więc zaprzężono żołnierzy KOP i wojska. Przy stanicach i jednostkach wojskowych tworzone świetlice pełniące funkcję biblioteki, sali zabaw, nauki i słuchania radia. Dla wielu chłopów ten ostatni wynalazek był zupełnie niedostępny, bo nie mieli pieniędzy, prądu, potrzeby posiadania albo wszystkiego na raz. W takich świetlicach prowadzono zajęcia dla młodzieży, próbując pokazać jej świat poza sąsiednimi wsiami i targiem. Podobnie wyglądała opieka jednostek wojskowych z głębi kraju nad osadami czy szkołami Kresowymi. Oficerowie i żołnierze

przyjeżdżali na wschód, przywożąc ze sobą książki, podręczniki, zeszyty, a nawet radiodbiorniki.

Misja cywilizacyjna

Kiedy poborowy trafił już do wojska starano się, by rekrut z zachodnich dzielnic trafił na wschód, a jego kolega z Kresów pojechał do garnizonów pomorskich, wielkopolskich czy śląskich. Wszystko po to, by pokazać młodym chłopakom, że w kraju żyje się różnie. Poznaniak miał zobaczyć na własne oczy mozaikę etniczną, polskie dwory i osady, ukraińskie wsie, Poleszuków i żydowskie miasteczka, te małe sztetle. Wyprawa kresowiaka na zachód miała mu pokazać świat do którego powinien dążyć - miasta, drogi, zmechanizowane i dochodowe rolnictwo czy choćby rowery i zwykły porządek wokół murowanego obejścia.



Uczestnicy kursu spółdzielczego dla nauczycieli szkół powszechnych na Wołyniu w Równem. Styczeń 1932 r.fot. NAC

Ale łatwo nie było. Działalność oświatowo-kulturalna napotykała, jak wszystko w II Rzeczypospolitej, na brak pieniędzy. Funduszy nie starczało na książki, ołówki i zeszyty zarówno dla stanic jak i rekrutów w armii. Ci ostatni mieli chociaż zapewniony wikt i opierunek na koszt państwa, co dla wielu było samo w sobie awansem. Nakarmić żołnierza, wpoić zasady higieny, przekazać wiedzę o świecie i Polsce, czasem dać podstawy jakiegoś fachu, a jak trzeba to i nauczyć pisać i czytać. Walka z analfabetyzmem była szczególnie ważna w latach dwudziestych, kiedy trzeba było nadrabiać stracone lata wojny. Problem "nie czytających nie piszących" stopniowo malał dzięki rozbudowie państwowego szkolnictwa, jednak w latach 30. jeszcze borykano się z analfabetyzmem.

Misja cywilizacyjna wojska i KOP-u na kresach wynikała nie ze współczucia dla biedy. Żywoćnym interesem państwa było zasypanie przepaści między Polską A i B, a może A, B i C. Jako tako wykształcony rekrut wracający do domu miał nieść kaganek oświaty i zmieniać Kresy, modernizować je. Obok podniesienia poziomu gospodarczego, chodziło również o poprawę jakości poborowych i scalenia kraju z "trzech połówek" w jedną integralną całość. Ale czy dwadzieścia lat mogło wystarczyć?

Robert Witak

Autor: Robert Witak
Przedruk ze strony:

http://historia.wp.pl/title,Dziki-wschod-Zycie-na-Kresach-Wschodnich-w-II-RP,wid,16424752,wiadomosc.html?ticaid=1124c4&_tictsn=3

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl